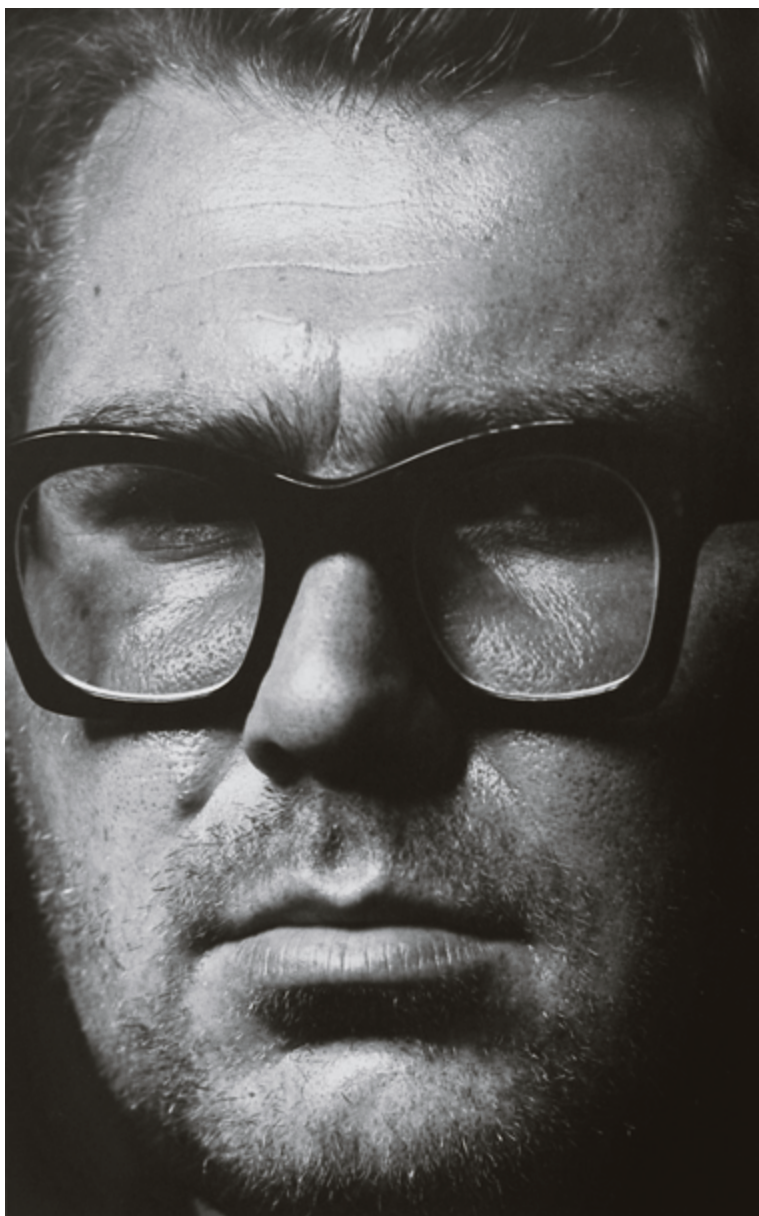


Zdzisław **Beksiński**
Opowiadania

BOSZ



Zdzisław
Beksiński
Autoportret

Zdzisław Beksiński

Opowiadania

Wybór i opracowanie krytyczne
Tomasz Chomiszczak

BOSZ

Projekt graficzny
Władysław Pluta

Wybór, opracowanie krytyczne i redakcja
Tomasz Chomiszczak

Koordinacja prac redakcyjnych
Sabina Niedzielska

Korekta
Ewa Rogucka

DTP
Jakub Kinel, BOSZ

Przygotowanie materiałów do druku
Marek Wajda

Szkice i maszynopisy – Zdzisław Beksiński / Muzeum Historyczne w Sanoku

Druk
Drukarnia Skleniarz, Kraków

Printed in Poland
Wydanie pierwsze
Olszanica 2015

ISBN 978-83-7576-253-2

© Prawa autorskie do publikacji – Wydawnictwo BOSZ
© Prawa autorskie do opowiadań i ilustracji Zdzisława Beksińskiego – Muzeum Historyczne w Sanoku
© Prawa autorskie do tekstu posłowia – Tomasz Chomiszczak

Wydawca
Wydawnictwo BOSZ
BOSZ Szymanik i wspólnicy spółka jawna
38-722 Olszanica
Biuro: Przemysłowa 14
38-600 Lesko
tel. +48 13 469 90 00, +48 13 469 90 10
faks: +48 13 469 61 88
e-mail: biuro@bosz.com.pl
www.bosz.com.pl

Spis treści

Przedmowa

Wiesław Banach	
„Nadal szukać swojej drogi”.	
Zdzisław Beksiński – człowiek wielu talentów	
	11

Zdzisław Beksiński. Opowiadania

Na końcu ogrodu	
	19
Centrala snów	
	35
Informator	
	51
Lustra	
	77
Godzina zero II	
	97
Plac egzekucji	
	105
Bakterie	
	117
Wilki	
	127

Piasek	
141	
Podpalacz	
159	
Numer telefonu	
175	
Śnieg	
187	
Zamach	
201	
Kronikarz wydarzeń I	
219	
Kronikarz wydarzeń II	
223	
Kronikarz wydarzeń III	
235	
Alfa I	
243	
Alfa III	
247	
Nie ma już o czym opowiadać	
251	
Ręka	
255	
Obserwatorzy	
261	
Manekiny	
287	
Bilardzista	
295	

Ból głowy III
317
Kobieta z portretu
331

Posłowie

Tomasz Chomiszczak
„Zaledwie okruchy, bezużyteczne szczątki,
niedojedzone przez czas resztki”.
Prozatorskie do-myślenia Zdzisława Beksińskiego
355

Nota wydawnicza
411

Przedmowa

Wiesław Banach

„Nadal szukać swojej drogi”

Zdzisław Beksiński – człowiek wielu talentów

☞ Zdzisław Beksiński (Sanok, 24 lutego 1929 – Warszawa, 21 lutego 2005) wymieniany jest dzisiaj wśród najważniejszych polskich malarzy XX wieku. Jego twórczość podlegała jednak nieustannym przemianom i zawsze te nowsze, aktualne wówczas poszukiwania były najważniejsze; wcześniejsze lekceważył.

☞ Rysował od dziecka – był to jego najbardziej naturalny sposób wypowiedzi. Od młodości marzył o karierze artystycznej, pragnął jednakże realizować swoje pomysły w kinematografii. Na studia w szkole filmowej nie zgodził się ojciec, nakłaniając syna, by ten obrał bardziej praktyczny kierunek studiów. Jeszcze będąc studentem krakowskiej politechniki, Beksiński kupił aparat fotograficzny, pełen ambicji, by wykonywać zdjęcia o charakterze artystycznym. Ta próba zrekompensowania sobie żalu po niespełnionych marzeniach o zostaniu filmowcem przyniosła znakomite rezultaty: z perspektywy minionego półwiecza jego fotografia uznawana jest za wybitną, wyprzedzającą wiele prądów sztuki europejskiej. Przyjaźnie, jakie artysta sanocki nawiązał wówczas z innymi wybitnymi fotografikami – Bronisławem Schlabsem, Markiem Piaseckim i Jerzym Lewczyńskim – w znaczący sposób wpłynęły na bieg sztuki drugiej połowy XX wieku.

☞ Przygodę z fotografią artystyczną zakończył Beksiński w 1959 roku serią plasz z naklejonymi zdjęciami, w których trudno odnaleźć jednoznaczne, logiczne związki. Nadając im tytuły, artysta prowokował odbiorcę do werbalnego opisywania. Był to być może pierwszy epizod twórczy, w którym moglibyśmy doszukiwać się literackiej niemalże narracji. I choć jeszcze w lipcu 1960 roku Beksiński pisał do Jerzego Lewczyńskiego, że obmyśla fotomontaże na wspólną wystawę w listopadzie (zamierzenie nie zostało zrealizowane), to aparatu fotograficznego używał odtąd już tylko do dokumentacji.

☞ Równoległe do twórczości fotograficznej powstawały obrazy i reliefy o charakterze abstrakcyjnym – tak odmienne i sugestywne, że na ówczesnych wystawach malarskich wyróżniały się oryginalnością. Beksiński tworzył także rzeźby przestylizowanych postaci ludzkich i zwierzęcych oraz głowy-czaszki. Czasami nadawał im nazwy bohaterów literackich czy mitologicznych: Makbet, Hamlet, Lady Makbet, Edyp. Około 1963 roku ten sposób tworzenia powoli zaczął się wyczerpywać. Podczas jednej z naszych rozmów u końca lat 90., kiedy w sanocim zamku zastanawialiśmy się nad walorami kilku wiszących tam abstrakcji, wypytywałem artystę, dlaczego w momencie, gdy ta właśnie twórczość budziła coraz większe zainteresowanie i uznanie krytyki, zdecydowanie ją odrzucił. Wyjaśnienie Beksińskiego było proste: po kilku latach bycia abstrakcjonistą zrozumiał, że jest to nowy „akademizm” hamujący rozwój artystyczny i ograniczający swobodę wypowiedzi. Zrozumiał, że musi nadal szukać swojej drogi.

☞ W latach 1963–65 powstały jego teksty literackie. Można się zastanowić, czy i one – podobnie jak twórczość fotograficzna – nie były jakąś formą rekompensaty za niespełnione pragnienie realizowania filmów; czy przynajmniej niektórych z nich nie można by uznać za kryptoscenariusze. Na pewno były próbą sprawdzenia się w nowej dyscyplinie twórczości. Już z dystansu, na przełomie lat 70. i 80. minionego wieku, podczas pewnej dyskusji z zaprzyjaźnionym malarzem Tadeuszem Turkowskim Beksiński wspominał, że usiłował niegdyś pisać i zastanawiał się wówczas, kim powinien zostać: malarzem czy pisarzem. Wybrał malarstwo, bo dopiero w tej aktywności twórczej mógł być wolny. Praca literacka wiązała się przecież z cenzorskimi cięciami, „dogadywaniem się” z wydawcami, poddawaniem się ocenom

krytyków, walką o przydział papieru i tym podobnymi problemami, zaś pisanie do szuflady nie miało sensu.

☞ Faktem jest, że w 1963 roku sanocki artysta nie do końca był pewien, co robić dalej. Abstrakcja wyczerpała swoją atrakcyjność, rzeźba stawała się coraz bardziej uciążliwa fizycznie, zostawały rysunki i szczególne zainteresowanie się erotyką. Wystawa jego aktualnego dorobku w Starej Pomarańczarni w warszawskich Łazienkach w 1964 roku stała się symbolicznym zamknięciem tamtych poszukiwań.

☞ Trzy lata później, po następnej stołecznej prezentacji zdominowanej przez rysunki erotyczne wykonane w różnych formatach i technikach, Beksiński sprzedał niemalże wszystkie pokazywane dzieła. Odtąd coraz większe zainteresowanie odbiorców przekładające się na powodzenie rynkowe pozwoliło mu żyć wyłącznie z malarstwa. Już w styczniu 1965 roku artysta nosił się z zamiarem wzięcia urlopu w Autosanie, gdyż zamierzał pracować po 14 godzin dziennie, ucząc się malarstwa olejnego. Podczas gdy w rysunkach stosował coraz swobodniej przestrzeń, trójwymiarowość, gradacje tonalne – w malarstwie wciąż nie wiedział, jak osiągnąć podobne rezultaty, wprowadzając kolor. Obrazy z tego okresu określał jako studia i nic ponadto; to, co się zachowało, prezentuje niską wartość artystyczną. Jednakże w tym samym roku ostatecznie zdecydował, że zostanie malarzem, co było równoznaczne z porzuceniem wprawek literackich.

☞ Dopiero w 1967 roku powstaną obrazy, z których Beksiński będzie zadowolony: charakteryzujące się dojrzałością artystyczną, wprowadzające go w malarstwo przestrzenne nazwane po latach realizmem fantastycznym. Ten etap pracy, trwający do początku lat 80., przyniósł mu sukces materialny i olbrzymi rozgłos.

Ostatnie dwadzieścia lat życia artysty było okresem skupionej pracy nad formą, która miała zmaksymalizować ekspresję. Zniknęły rozległe pejzaże znane z okresu fantastycznego, wypełniane zdeformowanym postaciami czy tajemniczymi zjawiskami. Z biegiem czasu zmalało także zainteresowanie Beksińskiego literaturą. Nigdy też nie powrócił do prób literackich, nawet nie zweryfikował po latach utworów napisanych między 1963 a 1965 rokiem. Pisał co prawda dużo listów, prowadził także dziennik, nie uważał jednak, że może to mieć znaczenie literackie.

☞ Zdzisław Beksiński, choć zapewne sam tak o tym nie myślał, był człowiekiem wielu talentów – w tym talencie literackiego. Dziesiąta rocznica śmierci artysty pozwala na ocenę jego olbrzymiego dorobku już z pewnego dystansu. Pochylając się nad kolejnymi próbami literackimi, które dzisiaj udostępniamy czytelnikom, może i westchniemy z żalem, że sanocki twórca przedwcześnie je porzucił?

Wiesław Banaś



Zdzisław Beksiński

Na końcu ogrodu

☪ Leżą pod dachami z liści łopianu, w trawie, moczarach, na polnej drodze i pod asfaltem autostrady. Co roku pierwsze promienie wiosennego słońca, pierwsze upalne dni kwietnia, zieleń, kwiaty i wilgotna ziemia wypędzają mnie na to osobliwe tournée. Zimne poczekalnie dworcowe, pełne przeciągu autobusy, potem zaś otwiera się przed moimi oczyma jeden z tych znanych ze wszystkich snów i ze wszystkich wspomnień krajobrazów, w którym pierwsza, dzika, pełna parujących soków wegetacja roślinna miesza się z włosami moich zmarłych. Leżę w trawie i wśród akompaniamentu bzyczeń, szumów – wydaje się, że i promienie słoneczne emanują cichy, monotony dźwięk – usiłuję przypomnieć sobie, o czym wtedy rozmawiali.

☪ Potem idę na koniec ogrodu, gdzie leżą zmarli. Na końcu ogrodu, rozumie pan, nie ma żadnego domowego cmentarza, po prostu stoi altanka i betonowy tarasik, na którym zwykle opala się mój brat. Teraz jednak jestem przekonany, że na końcu ogrodu znajduje się grób – jeden lub kilka. Tak, jeden lub kilka. Nawet nie wiem, czy zdawałem sobie wtedy sprawę, że należy odróżnić, czy znajduje się tam jeden grób, czy też kilka grobów, może wspólna mogiła; nie wiem, czy to zresztą jest ważne. Proszę powiedzieć, czy to jest ważne.

☪ Mów dalej, wszystko jest ważne. Mów tak, jak myślisz. Mów także o wszystkich wątpliwościach, jakie przychodzą ci do głowy w związku z twoją relacją. Ważna jest i sama relacja, i wszelkie wątpliwości. Mów dalej.

☪ Więc na końcu ogrodu znajduje się duży grób lub też kilka grobów; może nie grobów, może znajduje się tam mogiła. Określenie „mogiła” wydaje mi się bardziej adekwatne niż

słowo „grób”. Tak jak niemiecki „Kirchof” jest chyba lepszym słowem niż „cmentarz”. „Kirchof”. Albo „churchyard”. To po angielsku. Przychodzi mi też do głowy słowo „monastyr”. To znaczy po rosyjsku „klasztor”. Rosjanie mówią to, przeciągając: „manastyyyr”. Dlaczego przyszło mi do głowy słowo „manastyyyr”? Ponieważ nie wiąże się ono z mogiłami na końcu mego ogrodu. Więc na końcu ogrodu znajdują się mogiły. W mogiłach tych znajdują się ludzie, których chyba znam. Idę na koniec ogrodu. Mrok rozpościera się nad ziemią, ale jest to dziwny mrok, pokrywający ziemię do wysokości trawy. Trawa, glina, chwasty, łopiany, patyki koraliny są mroczne, jak przysypane grubą warstwą pyłu węglowego. Mrok panuje nad samą ziemią. Niebo natomiast jest stosunkowo jasne, pokryte czerwienią zachodu. Zachodu czy wschodu? To ciekawe. Jestem przekonany, że niebo pokryte jest czerwienią zachodu, ale ta czerwień – uzmysławiam sobie to teraz – leży po wschodniej stronie ogrodu. Proszę mi powiedzieć. Powiedz mi, co w takim razie jest ważne: to, co sobie wtedy uzmysłowiłem, czy to, co było, to znaczy to, co sobie teraz przypominam?

☪ Mów dalej, wszystko jest ważne. I to, co sobie przypominasz, i to, co sobie wtedy uzmysłowiłeś. Mów dalej.

☪ Idę na koniec ogrodu, gdzie znajduje się mogiła, w której leżą zmarli. Ja znam chyba tych zmarłych, ale nie potrafiłbym ich nazwać. Nie wiem, czy leżą w tej mogile od dawna, czy dopiero od kilku dni. Zdaje się, że leżą od kilku dni, bo obawiam się fetoru rozkładających się zwłok. Zdaje się, że leżą już niesłychanie długo, bo zastanawiam się, czy korzenie drzew, które w tym czasie rozprzestrzeniły się dookoła i w głąb, nie będą stanowić przeszkody w ich wydobyciu.

☞ W trawie, przy samej ziemi, kilka zorganizowanych w brygadę roboczą mrówek ciągnie zdechłego pająka. Żar słońca, brzęk owadów, wszystko zlewa się w monotonną, usypiającą muzykę.

☞ Na końcu ogrodu jest miejsce, w którym leżą zmarli. Zaraz za płytą betonową, na której lubiłem się opalać. Mrok jak ciemny gaz, cięższy od powietrza pokrywa brudną kołdrą trawę i kwiaty, patyki krzewów, liście łopucha. Nie wiem, czy zmarły jest jeden, czy jest ich kilku. Leżą w tym miejscu, gdzie za płytą betonową mój ojciec, gdy byłem jeszcze mały, pochował swojego psa. Pies nazywał się Miki. Zdechł zdaje się na zapalenie płuc. Może zresztą się mylę. W tym miejscu w ogrodzie jest od trzydziestu lat małe zagłębienie zarosłe chwastami i zielskiem. W dzieciństwie nie lubiłem tam chodzić; gdy przypadkiem zapędziłem się za płytę betonową i za krzak derenu, gdzie znajdowało się zagłębienie, zwalniałem bieg i uspokajałem oddech. Wokoło panowała wilgoć, mrok rzucany przez dereń i cisza, którą dziś nazwałbym ciszą śmierci. Minęło trzydzieści lat i mój ojciec już dawno nie żyje, ale zagłębienie na końcu ogrodu, tam, gdzie leżą teraz zmarli, jest stale widoczne. Myślę, że będzie widoczne jeszcze długo po mojej śmierci. Nieraz przyłapuję się na myśli, że chciałbym wziąć łopatę i rozkopać anonimowy grób ukryty pod zagłębieniem. Nie wiem, czy pcha mnie do tego podszyta seksualnością ciekawość śmierci, masochistyczna rozkosz bezpośredniego zetknięcia z destrukcją przemijania, czy też tęsknota za utraconym dzieciństwem, które zakopane zostało wraz ze zwłokami psa.

☞ Mrówki mają teraz przed sobą do przekroczenia żdźbło trawy. W górze, nad nimi i nade mną, niesłychanie wysoko słychać

dźwięk przelatującego samolotu. Podnoszę wzrok ku niebu. Samolot jest niesłychanie wysoko i gołym okiem dostrzec można jedynie cienką na początku i rozwiewającą się po kilku kilometrach w drobne baranki smugę kondensatu. Człowiek, który prowadzi samolot, i ludzie, którzy się w samolocie znajdują, nie wiedzą o moim istnieniu nawet tyle, ile wiem ja o mrówkach niosących zdechłego pająka. Opuszczam wzrok na trawę. Mrówki nie pokonały jeszcze zagradzającego im drogę żdzibła. W czasie, w którym samolot przeleciał odległość dwudziestu kilometrów, mrówki nie uczyniły właściwie ani kroku naprzód. Wszystko jednak wskazuje na to, że nie zostawią zdechłego pająka, lecz będą się męczyć dalej.

☞ Chciałbym uwierzyć, że masz rację. Mówię „chciałbym”, bo nie wierzę. Teraz chciałbym mówić dalej.

☞ Mów dalej. Cały czas słucham. Mów dalej.

☞ Jest długie, rozpościerające się aż po granicę zarośniętych lasem gór pole. Obecnie stoją tam domy, osiedle mieszkaniowe, ale w moich snach wracam do pola z czasów dzieciństwa, a może do jakiegoś innego pola, które widziałem w trakcie jednej ze swych podróży. Nad polem wznosi się czarny sufit nocnych chmur. Ten czarny sufit z góry i stosunkowo jaśniejsze, lecz mimo to również ogromnie ciemne pola z dołu tworzą tunel; coś na kształt olbrzymiej szuflady, otwartej z jednej strony, po której właśnie stoję, i zamkniętej gdzieś daleko, w miejscu zlania się czerni chmur i ciemnego brązu pól w jednolitą, nieprzeniknioną ciemność. Jestem na początku szuflady; to znaczy w chwili, którą już sobie przypominam, jestem na początku szuflady i prawdopodobnie mam podążać w kierunku prowadzącym w głąb szuflady. Odczuwam niesłychany wprost strach, łaskoczącą włosy

i zaciskającą gardło trwogę. Gdzieś w głębi szuflady płonie światło. Jest to chyba światło domu. Być może światło to nie jest elektryczne. Jest to raczej świeczka, a może lampa naftowa. Wydaje mi się, że stoi ona bezpośrednio na trawniku, w ukryciu drzew, rzucając od spodu na liście słabe, pełgające niespokojnie odbłaski. Nie wiem, czy to dobrze przedstawiłem. Na ziemi leży śnieg i światło pali się w śniegu. Jest chyba zima, jestem stale we wnętrzu szuflady, tylko że teraz nie mogę się już cofnąć. To wraca wiele razy. Czasem idę w poprzek szuflady. Czasem stoję i zastanawiam się, jak osiągnąć cel znajdujący się na terenie szuflady. To wraca wiele razy. Cel nigdy nie leży poza granicami szuflady. Wydaje mi się, że nie ma niczego, co znajdowałoby się poza jej granicami. Poza tym jestem w trakcie mych podróży zupełnie sam i sędzę, że domy, pełgające światelka i wydeptane trakty, do których dążę, są również niezamieszkane, bezosobowe, anonimowe, nieuczęszczane, [że to] fatamorgana, złudzenie, iluzja w iluzji, sen w marzeniu sennym.

❧ Zimny, pełen przeciągów i nieokreślonych hałasów peron. „...odchodzi z toru dwunastego przy peronie szóstym, proszę wsiadać, drzwi zamykać, powtarzam, pociąg pospieszny do...”

❧ Mam dopiero siedem lat. W pokoju na końcu amfilady nie pali się światło i gdy idę po zostawione w pokoju zabawki, przejść muszę przez sześć nieoświetlonych pokoi. Wyłączniki światła są na wysokości półtora metra. Nie mogę do nich dosięgnąć bez dostawienia do ściany krzesła lub stołeczka. Za poręczami krzeseł, pod blatami stołeczków czekają na mnie złośliwe krasnoludki. Małe stworzonka o nieokreślonym kształcie. Gdy po omacku szukać będę krzesła, mogę dotknąć jednego

z nich. W ciemnym otworze, w ciemnej szczelinie za piecem goreje dwoje oczu, na pewno goreje dwoje oczu; nie mogę obrócić głowy, bo je zobaczę. Nie mogę obrócić głowy, bo je zobaczę, a jednak muszę obrócić głowę i muszę je zobaczyć. Śni mi się, jak idę z ojcem do parku. Po prawej stronie, w bocznej alejce rośnie krzew orzecha laskowego o czerwonych liściach. Wokół krzewu panuje cisza i wilgotny półmrok. Dziś w parku nie ma czerwonego drzewa, na tym miejscu spostrzegam wielką szeroką budowlę o jego kształcie. Budowla pokryta jest całą czarnym lśniącym materiałem, jakiego Żydzi używają na chałaty. Ojciec mówi, że coś w parku czeka. Strach jak wielki ciepły kawałek mydła wtłacza mi się do gardła. Babka trzymała zawsze w szafie włoskie orzechy, daktyle, papierosy machorkowe dla żebraków; gdy umarła, jej strój, którego używała do pracy w ogrodzie, wisiał przez rok w piwniczce na narzędzia i gdy przeszukiwałem jego kieszenie, rozłaził się z wilgoci i pleśni w palcach. Czarny materiał skradziony babce, którym pokryta była leszczyna w parku, przyśnił mi się jeszcze później, gdy już byłem żonaty i mój najstarszy syn liczył sobie siedem lat. Kobieta wiejska o nieruchomej, lecz znajomej twarzy i w nieokreślonym wieku, w uszytej z tego materiału sukni stała na schodach prowadzących do domu i na jej widok zawyłem ze zgrozy, budząc się z bijącym sercem.

☞ Co roku przemierzam tę samą trasę. Gdy patrzę teraz z pociągu na puszystą zieleni pól, wyobrażam sobie, że z wagonu zwisa długa lina. Chwytam tę linę i rzucam się w fale zieleni, mknąc za pociągiem zawieszony jak szczupak na końcu wędzidła. Pod moimi wyciągniętymi rękami rozczesuje się trawa, krzewy, młode zboże, cała twarz piecze mnie od tysięcy lekkich,

tysięcy szybkich, oczyszczających uderzeń; wkopuję się w ziemię, rozcinam ją rękami jak masło, wwiercam się w nią jak dżdżownica...

☞ Mów dalej.

☞ Czasem są pola owiewane wiatrem i pocukrowane cienką powłoką śniegu. Wiatr przegania jego nieliczne, twarde, sypkie płatki, które zbierają się w zagłębieniach terenu, na listkach trawy, na zeschniętych porzrzucanych badyłach. Jestem tu chyba ze znajomymi, może z kolegami ze szkoły. Jest także chyba i mój brat. A więc żyje! Wydaje mi się, że jestem o wiele młodszy. Nie wiem zresztą, czy jest to wrażenie odniesione w pełni bezpośrednio, czy też spowodowane faktem obecności brata i kolegów. W pewnej chwili oni odchodzą, może zresztą nigdy ich nie było, a od samego początku istniała tylko świadomość, że przed chwilą odeszli. Przeszłość jest ciemna. Nie mogę więcej dostrzec. Nie wiem, skąd tam się znaleźliśmy. Wydaje mi się, że jest to pole obok domu jednego z moich kolegów, gdzie bawiliśmy się, gdy miałem lat dwanaście. Na tym polu jest skarpa. Skarpa ta jest ciemna i to znaczy, że jest ciemniejsza od pobielonych pól. Nie ma na niej trawy, są w niej zakopane jakieś skrzynie, które erozja wiatru i inne niewyjaśnione czynniki częściowo odsłoniły. Może zresztą nigdy nie były zakopane dość głęboko. Nie wiem. Nie wiem, co mają oznaczać skrzynie. Są częściowo przegniłe lub połamane. Jest coraz ciemniej. Czuję coś w rodzaju ogromnego zniechęcenia, niesmaku, zupełnej beznadziejności, zatrucia jakimś dziwnym gazem. W miejscach, w których skrzynie są zniszczone, widać czarną czeluść wnętrza, która zdaje się sięgać do środka ziemi. Twarde płatki śniegu, które nanosi wiatr, wirują nad tą czeluścią; wciągane do wewnątrz,

osiadają na krawędziach otworów, na wystających z ziemi brzegach skrzyń, by, porwane następnym podmuchem wiatru, uciec gdzieś dalej jak białe owady przyciągane przez chłód i mrok.

☞ Teraz patrzę na drzewa. Cała polana tętni życiem. Wszędzie za zasłoną drzew są moje ogrody, wszędzie włosy zmarłych rozwiewają się w podmuchach wiatru, omiatając nieruchome czoła i zarośnięte kwiatami oczy.

☞ W dzieciństwie wierzyłem w istnienie lochów. Lochów ukrytych pod starymi zrujnowanymi klasztorami, lochów drążących lasy, lochów podkopujących szerokie rzeki. W lasach tupaliśmy silnie nogą w igliwie i wydawało nam się, że słyhać dudnienie. Patrząc na rzekę z mostu, wiedziałem że wiry powstają w wyniku uciekania wody przez nieszczelności w sklepieniach lochów. Raz, patrząc z mostu, zauważyłem u podnóża przęsła białą, zniekształconą przez załamanie światła w płynącej wodzie przedmiot. Wyglądało to jak zwłoki dziecka, a może psa. Widać było żebra, może zresztą fantazja dodała nieistniejące szczegóły. Między otworami żeber a powłoką niesłychanie białej skóry czy mięsa widać było ciemne rozpadliny wnętrza, do których wpływały i [z których] wypływały ryby. Mech rzeczny porastający gęstym lasem dno rzeki spletał się i rozpletał na białych, drgających w rytm fali członkach. Chodziłem codziennie nad rzekę i patrzyłem z mostu, jak zmienia się pies leżący na dnie. Potem przyszła zima i lód pokrył rzekę i psa. Czekałem wiosny i roztopów. Gdy jednak lód ruszył i oczyściły się wody, nie było już psa u podnóża przęsła. Odczułem naprzód rozczarowanie, potem zaś ulgę. Nie musiałem już na niego patrzeć; jednak od tego czasu nienawidziłem rzeki i kąpieli. Sądziłem,

że pies czeka na mnie na dnie rzeki, pod mętnym lustrem wody, w cichej pościeli namułu, poza zarośniętymi mchem głowami. Mimo iż minęło wiele lat, myślę, że pies czeka na mnie nadal.

☞ Wejście do ogrodu jest za zasłoną drzew. Na końcu ogrodu, pod liśćmi łopianu jest cichy, wilgotny kąt. Wokoło leżą gnijące gałązki, spleśniałe badyle, pod zimnymi kamieniami uwijają się roje robactwa. Niedługo odchodzi autobus. Szeleszcząc butami w chwastach wśród trzasku łamanego chrustu, oddalam się od ogrodu.

☞ A kiedy indziej idę ulicą. Chyba jest to ten sam nastrój, ten sam klimat psychiczny. Nie wiem zresztą, jak uważasz. Sądzę, że to także jest ważne. Zresztą może mi się tylko tak wydaje. Więc idę ulicą, jest to ulica nieznanego mi miasta. Wokół jakieś ruiny i rusztowania. Ulica jest ciasna. Jest tak ciasna, że muszę się przepychać, aby móc zdążyć. Ściany domów, rusztowania zaciskają się po obu stronach, przejście wynosi zaledwie pół metra, może jest jeszcze węższe. Odczuwam niepokój, strach. Strach, którego nie chcę okazać. Ta dzielnica to getto, stare getto w nieznanym mi mieście. Brodaci Żydzi wyglądają z okien. Może nie wyglądają z okien, tylko przemykają za rusztowaniami. Czuję sieć spisku. Dosłownie sieć spisku. Rusztowania są tak gęste, że z trudnością, jak wąż, pochylając się, prześlizgując pomiędzy nimi, mogę podążyć naprzód. Widzę jednak, że im dalej się posuwam, tym bardziej gęstnieją rusztowania, tym bardziej ciemnieje i zwęża się ulica. Nie mogę się cofnąć; nie wiem właściwie dlaczego, lecz nie mogę się cofnąć. Może droga odwrotu została odcięta, a może mam jakiś cel przed sobą. Nie potrafię tego dokładniej sobie uzmysłwić. Wiem tylko jedno:

nie mogę dać poznać po sobie, że się boję. Zresztą i tak nie ma najmniejszej drogi ratunku. Wtedy się budzę. Nie jestem przecież antysemitą. Wiesz, że nie jestem antysemitą. Dlaczego boję się starych Żydów, których już nie ma? Nie są to starzy ludzie, nie są to starcy. Widzę w nich tylko wrogów, niepokonane prawa natury. Bezwzględna, obcą siłę. Biorą katolickie dzieci, wsadzają do beczki nabitej gwoźdźmi i obracają beczkę. Krwią nasycają białe prześcieradła. Po jednej nitce z każdego prześcieradła dodają do macy. Czy te sny wyjaśnić można jedynie czyścym strachem? Czy istnieje czysty strach? Musi istnieć strach przed czymś. Nie boję się przecież starych Żydów wymordowanych w czasie wojny. Dlaczego boję się ich we śnie, dlaczego oni nienawidzą mnie we śnie i pragną mnie schwycić w swoje ręce? Nie jestem dzieckiem, jestem dorosłym, który nie wierzy w beczkę nabijaną gwoźdźmi. Może to nie lęk przed Żydami? Może Żydzi symbolizują starość i śmierć? Czy mówić dalej?

☞ Mów dalej, słucham.

☞ Ulica, którą podążam, zabudowana jest starymi domami i ruinami. Dlaczego wokoło znajdują się ruiny? Dlaczego znajdują się rusztowania? Przychodzi mi do głowy słowo „moloch”. Być może jest to słowo „loch”. Lochy. Piwnice, gdzie błądzi się w poszukiwaniu zmarłych, których białe, wymoczone w wodzie zwłoki spoczywają na którymś z zakrętów. Między żebra mi widać czarne otwory. Wnętrza piwnic są ciemne, korytarze prowadzą w nieskończoność. Korytarze zbudowane są prawdopodobnie okrężnie i ich obwód się zamyka. Zwłoki mojego brata leżą na betonowym tarasie.

☞ Wszędzie wokoło znajdują się te ogrody. Autobus pędzi korytarzem stworzonym przez topole. Takie same topole rosły

u nas, gdy jeszcze byłem mały. W żywopłotach czają się ukryte cieniste ogrody i zaniedbane domy.

❏ W mieście była jedna ulica, której nie mogę obecnie znaleźć. Nie przywodzi [ona] obecnie na myśl chwil szczęścia, nie budzi smutnych wspomnień. Jestem teraz na ulicy mojego dzieciństwa, w której brzmi echo spraw zapomnianych, niebyłych dramatów, jakichś dziwnie melancholijnych przeżyć. Nie wiem, po której stronie miasta jest ta ulica. Być może przechodzę ją codziennie, ale dawne proporcje uległy zmianie, powstały nowe domy, wycięto drzewa. Może ta ulica była w innym mieście. Może była we śnie. Willowe domy o zniszczonych, splekanych przez deszcz secesyjnych fasadach, zarośnięte winem ogrody, pokryte winem mury i sztachety. Stare bramy z prętów stalowych. Stary człowiek w jednym z pokoi. W pokoju wisi obraz przedstawiający odwrót spod Moskwy. Zwłoki pokryte śniegiem. Fortepian. Kolekcja kaktusów. Stary człowiek rozmawia o czymś z moim ojcem. W mieszkaniu panuje mrok. Na jednej z półek leży rysunek. Widać rozkopany grób, nad którym stoją trzy kobiety o dziwnie podniesionych od przodu sukniach. Nie rozumiem, co oznacza ten obrazek, ale boję się spytać o to ojca. Wydaje mi się, że nie otrzymałbym odpowiedzi, a obrazek zostałby schowany. Ojciec odebrał mi raz zdjęcie nagiej kobiety, a trzy kobiety na obrazku starego pana mają bardzo wysoko uniesione suknie. Wewnątrz, w grobie, leży związany mężczyzna w białej potarganej koszuli. Obrazek ten jest zupełnie niezrozumiały, lecz na tyle sugestywny, że widzę go jeszcze dziś. W dniu, w którym mój brat utopił się podczas kąpieli w basenie, myślałem o tym obrazku, a potem, gdy ksiądz podnosił w kazaniu posłuszeństwo, pilność i miłość do rodziców

i rodzeństwa zmarłego, widziałem przed oczyma tylko ten obrazek: mężczyznę w grobie i trzy kobiety. Nie pamiętam już zupełnie starego pana, u którego byliśmy na tej zarośniętej winem ulicy. Mimo iż obrazek mam przed oczyma do dziś tak dokładnie jak w dniu, kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, nie potrafiłbym poznać starego pana z ulicy snów. Być może zresztą już nie żyje. Z wiekiem, dopiero po upływie wielu lat, domyśliłem się, że umyślnie umieścił on dziwny obrazek tak nisko na półce, by nie dostrzegł go mój ojciec, lecz bym dostrzegł go ja.

☞ Leżę w trawie z głową zwróconą w kierunku nieba i patrzę na krążące wysoko jaskółki. Przypominam sobie, o czym mówili wtedy. Przypominam sobie z trudem fragment po fragmencie, lecz i tak pamiętam zaledwie okruchy, bezużyteczne szczątki, niedojedzone przez czas resztki.

☞ Idę ogrodem, parkiem lub cmentarzem. Jest lato. Pełnia lata. Niesłychanie silny zapach liści, mokrej trawy, gnijących w zielonym tłoku badyli. Oświetlające wszystko poprzez raster liści promienie słońca nie są w stanie rozświetlić moich myśli. Zdaję sobie sprawę, że muszę przebyć część cmentarza; sądzę, że to cmentarz, ale nie mógłbym zastosować tu słowa „churchyard”; słowo to nie określa tego, co znajduje się teraz wokół mnie. Nie mógłbym także użyć twardego niemieckiego słowa „Kirchhof”. Nie jest to chyba także cmentarz. W niesłychanym natłoku liści, badyli, jakichś kolorowych ciężkich ptaków, olbrzymich tropikalnych motyli, tłustych gorących liszek, ślimaków, komarów – znajduje się miejsce, do którego nie powinienem się udawać, lecz do którego właśnie, pchany jakąś dziwną ambiwalencją, wbrew woli podążam. Nie wiem, jak wygląda to miejsce;

wyda mi się, że jest to chyba grób, grobowiec. Nie wiem, czy ten grobowiec jest otwarty, czy zamknięty; czy jest z kamienia, czy tylko z betonu; może jest zbudowany z drzewa, ze starego zmurszałego drzewa, a między deskami prześwitują czarne głębokie otwory. Może mówię zbyt wiele, mówiąc równocześnie zbyt mało. Nie wiem, czy odczuwam to we śnie tak jak w tej chwili. Sądzę, że jeszcze nie opisałem tych stanów tak, jak one wyglądają. Czy mam jeszcze mówić?

☞ Mów dalej.

☞ Błądę po tym cmentarzu całe drżące od upału dnia; gdy już jestem przy wyjściu, wracam mimo woli czy też dobrowolnie – nie potrafię tego określić – w parującą lepkiem gorącym aleję, w której znajduje się to, czego nie powinienem widzieć. Wiem, że nie powinienem tego widzieć, lecz nie wiem dlaczego. Wiem także, że muszę to zobaczyć i na samą myśl o tym strach rozmiękcza mi nogi i klei podeszwy do ścieżki. Złe określenie. Nie mam podeszew. W tej chwili uzmysłowiłem sobie, że jestem boso i że stąpanie po gorącej, soczystej trawie połączone jest z niesłychanym obrzydzeniem. Tak, „obrzydzenie” to jest słowo, które najdokładniej oddaje stan, w jakim się teraz znajduję. Obrzydzenie połączone ze strachem. Wrażenie, jakiego doznajemy na widok pająka, lecz z jednej strony niesłychanie wysubtelnione, z drugiej – powiększone do olbrzymich rozmiarów. Jestem nie tylko boso, jestem także nagi, ubrany jedynie w strój kąpielowy, i na całym ciele odczuwam plugawe muśnięcia liści, motyli, kwiatów, które w zetknięciu ze mną okazują się wykonane z jakiejś zwiotczalej, nabrzmiącej procesem gnilnym substancji. W ustach czuję smak tej substancji. Jama ustna jest pełna czegoś niesłychanie obrzydliwego; czegoś, czego kwintesencją będzie to, co oczekuje mnie w miejscu, do którego dążę.

☞ Nie pamiętam już nic. Leżę zasłuchany w szum wiatru i widzę, jak obłoki nad moją głową układają się powoli w kształt, który naraz przypomina mi wszystko w ostatnim momencie, na granicy snu.

☞ Idę wewnątrz szuflady pod sufitem zbudowanym z czarnych, stojących nisko obłoków. Tam daleko, w zupełnej głębi, w ciemności – pali się światło. Są Zaduszki i cmentarz jest zupełnie pusty, jestem tylko ja i to jedno światło, którego odbłaski pełzną podniebieniami liści. Światło pali się wewnątrz, w zagłębieniu zapadniętego grobu, który znajduje się w ogrodzie. Leżą tam zmarli, których muszę odwiedzić. W ogrodzie, w zagłębieniu trawnika, leży padlina psa utopionego w rzece. Dlaczego pies nie czeka na mnie na dnie basenu kąpielowego? Gdy wydobyto mego brata, myślałem o zagłębieniu w głębi ogrodu i widziałem trzy kobiety stojące nad grobem. Teraz jest ciemno, idę wzdłuż szuflady. W górze słyszę gwizd samolotu. Mrówki wloką zdechłego pajaka. Wielkie tłuste śliskie ryby ocierają się o moje ciało. Mój brat leży na betonowej płycie basenu; woda załamuje promienie słońca odbijające się od jego żeber.

☞ Zdzisław Beksiński urodził się w 1929 roku w Sanoku. W rodzinnym mieście spędził większą część życia; tu też powstała duża część jego dorobku. W 1977 roku artysta przeprowadził się z rodziną do Warszawy, gdzie tworzył z coraz większym sukcesem. Zmarł tragicznie w 2005 roku.

☞ Był twórcą wszechstronnym. Szerokiemu odbiorcy najbar- dziej znany jest z tzw. okresu fantastycznego w malarstwie, ale z równą pasją pracował też nad rzeźbami, rysunkami, grafiką, obrazami-reliefami czy komputerowymi fotomontażami. Do dziś wysoko ceni się jego prace pochodzące z młodzieńczego okresu zainteresowania fotografią artystyczną.

☞ Tylko najbliżsi przyjaciele i rodzina wiedzieli, że w latach 1963–1965 Beksiński, nie zaprzestając działalności pla- stycznej, próbował swoich sił w pisarstwie. Epizod literacki był krótki i intensywny: w niespełna dwa lata powstało 40 opowiadań lub fragmentów. Ponieważ jednak sanocki arty- sta uznał, że teksty nie spełniają jego oczekiwań, zarzucił te próby, a wszystkie maszynopisy i rękopisy spakował, by już nigdy do nich nie wrócić.

☞ Pół wieku później pojawia się wreszcie drukiem pierwszy wybór niesamowitych – w każdym znaczeniu tego słowa – tekstów Beksińskiego. Oniryzm, pastisze literatury sensa- cyjnej i antyutopijnej, surrealizm, zabawy formą, nawiązanie do estetyki filmu, widowiska telewizyjnego i popkultury, lite- ratura konfesyjna i dygresyjna, humor i makabra – przegląd tych opowiadań staje się pisarską podróżą przez liczne nurty i mody literackie XX wieku. Ta książka to lektura obowią- zkowa nie tylko dla fanów sztuki Zdzisława Beksińskiego, lecz także dla amatorów mocnej literatury, która robi nie mniejsze wrażenie niż sugestywne malarstwo „samotnika z Sanoka”.